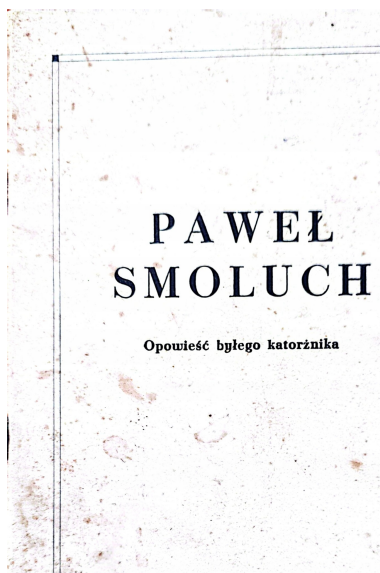


Paweł "Smoluch" - opowieść byłego katorżnika



Przezwiśko "Smoluch" otrzymał Paweł, mając lat osiem, w osobiwych warunkach, o których mowa będzie później. Prawdziwe jego nazwisko - brzmi Tichomirow; jest on synem włościanina jednej z najuboższych wiosek guberni mohylewskiej. Rodzina Tichomirowych składała się z ojca, matki i dwojga małoletnich dzieci - dziesięcioletniej Szury i ośmioletniego Paszy (Paweł). Rodzina żyła zgodnie i religijnie według obrządku prawosławnego; cieszyła się nie tylko poważaniem mieszkańców swojej wsi, ale także okolicznego duchowieństwa. W święta bywał u niej nawet miejscowy pop i grywał w karty z gospodarzem: Grano nie o pieniądze, ale dla zabicia czasu, to w "durnia" to w "nosy", przy czym ten, kto przegrał, dostawał kartami po nosie. Kiedy ktoś z grających posiadał pieniądze, posyłano dzieci po wódkę; wszyscy wówczas wpadali w nastrój wesoły; a "batuszka" mawiał: "pić w miarę nie jest grzechem; sam Pan

lubił wesołość i przemienił wodę w wino na weselu w Kanie Galilejskiej". - Dzieci ciekawie obserwowały przy tym, jak nos duchownego purpurowiał czy to od wódki, czy od uderzeń kartami, zadawanych nader zręcznie ręką wygrywającego zazwyczaj ojca. Pocziwy pop jeno chrząkał przygadując: "Kto wytrwa aż do końca, ten zbawion będzie; przyjdzie święto i dla mnie, a wtedy trzymaj się, bratku, albowiem napisano: "nikomu nic winni nie bądźcie", oraz "jaką miarą mierzycie, taką wam odmierzone będzie".

Ale oto nastał kres wesołego życia. Szereg następujących po sobie nieurodzajów zmusił włościan wsi Sosnówki do pomyślenia o emigracji na Syberię. Radzono nad tym na zgromadzeniach i postanowiono wreszcie wysłać poszukiwaczy, celem odnalezienia odpowiedniego szmatu ziemi w jednej z guberni sybirskich. Pomiędzy poszukującymi był też Tichomirow, jako człowiek praktyczny i roztropany. Po trzech miesiącach wysłańcy powrócili. Ziemie znaleziono w guberni Tomskiej. Sprzedawszy cały dobytek, emigranci ruszyli w drogę. Mieszkańcy Sosnówki zajęli kilka wagonów długiego pociągu, jednego z tych, które przeznaczono dla kolonistów. Rzecz działa się w roku 1897-ym. Poruszające się z wolna pociągi zatrzymywały się długo na stacjach węzłowych, gdzie przesiadali się pasażerowie - w Samarze, Czelabińsku, Omsku. Emigrantom wypadło oczekiwać na swoje pociągi tygodniami, i oto, poniewierając się byle jak na podłogach, spędzali dni i noce w ciasnych budynkach stacyjnych. Przetgotowanej wody brakło dla nich w kociołkach; pokarm gorący w bufetach był niedostępny dla biedaków; głodni ludzie rzucali się na tanie śledzie i wędzone płotki, oraz zapijali je niegotowaną wodą - w rezultacie pojawiły się naprzód schorzenia żołądkowe, a potem cholera. Zapadali na nią przeważnie dorośli. Nie dojechawszy do Tomska, zachorował także Tichomirow. Wszystkie objawy świadczyły o cholercie. Ku przerażeniu jego żony i dzieci, wyniesiono chorego na jednej ze stacyj z wagonu i skierowano do baraku dla chorych zakaźnie. Oczywiście, żona i dzieci opuściły również pociąg i znalazły przytułek nie opodal od baraku, za zestawionymi, ochraniającymi od śnieżycy deskami na drodze kolejowej, aby stąd po kilka razy dziennie dowiadywać się o zdrowie męża i ojca. Wieści były coraz to smutniejsze. Przeszły trzy dni, i zgębiona Tichomirowa oświadczyła dzieciom, że i ona zachorowała. Była to rozdzierająca serce scena, kiedy posługacze zabierali

płaczącym dzieciom matkę. Traciły one wraz z nią ostatnie oparcie. Ona też nie wypuszczała ich długo z objęć, czując że rozstaje się z nimi na zawsze. Ale okropniejszą niżli śmierć, była dla niej myśl o tym, że jej drogie dzieci pozostaną jako sieroty, bez opieki na obczyźnie.

Oto poniesiono matkę do baraku. Zrozpaczone dzieci z płaczem biegły za ludźmi, unoszącymi matkę, ale ciężkie wrota baraku zawarły się przed nimi. Jakże nieszczęsnymi i samotnymi czuli się teraz Szura i Pasza. Dzieci jak szalone biegały dokoła baraku, przywołując to ojca, to matkę... Ale odpowiedzią były tylko szorstkie wyzwiska dozorców i groźby pobicia, o ile nie odejdą. Jednakże dzieci nie przestawały krzyczeć i prosić o wpuszczenie ich do baraku, aby umrzeć mogły wraz z rodzicami, bez których - jak powiadały - nie chcą i nie mogą żyć. Tak biegały biedactwa do późnej nocy i dopiero chłód nocy zmusił je do pomyślenia o odzieży, którą wraz z innymi rzeczami pozostawiły gdzie indziej. Przybywszy na miejsce, gdzie siedziały wprzód z matką przed jej zasłabnięciem, nie znalazły ani śladu swego bagażu: ktoś widać złakomił się na nędzny dobytek emigrantów...

Weisnąwszy się pomiędzy deski, dzieci mocno przytuliły się do siebie, aby się cokolwiek ogrzać. Szura, jako starsza, troszczyła się bardzo o swojego braciszka, aż do świtu nie zmrużyła oczu i noc ta wydawała jej się wiecznością. Zaledwie Pasza się obudził, pobiegli oboje do baraku. Pierwszy dozorca, jakiego napotkali, powiedział im:

"Nie przychodźcie więcej: rankiem wynieśliśmy trupa waszego ojca, a matka wasza także pewno umrze dzisiaj".

Trudno było przekonać dzieci, aby nie zbliżały się do baraku. Zaglądały wciąż przez okna i przywoływały mamę. Czyliż naprawdę zmiłknie dla nich jej słodki głos; czy w istocie i ona na wieczór będzie zimnym trupem?

Tak, wieczorem dowiedziały się, że matka umarła. Objąwszy się, siedziały przy ścianie i gorzko płakały. Nocy tej Pasza nie spał ani chwili, ciągle płakał i tęsknił. Wsparty o ścianę, spoglądał na uchodzący w dal szlak drogi żelaznej i przeżywał dziecięcą wyobraźnią okrutne zdarzenia ostatnich dni. Wreszcie, zauważywszy nadchodzący pociąg, rzekł: "Szura; nie chcę żyć bez taty i mamy; pójdźmy, połóżmy się na szynach; niechaj lokomotywa nas zgniecie na śmierć. Po co mamy żyć? Dokąd pójdziemy teraz? Komu jesteśmy potrzebni? Z tymi słowy Pasza pociągnął siostrę za rękę i jął wlec ją ku szynom. Szurę zdjęło przerażenie; objęła braciszka i łkając mówiła: "Nie, za nic nie rzucę się pod pociąg i ciebie nie puszcę... boję się... to okropne". - "Puść mnie, ja sam pobiegnę" - krzyczał malec. Kiedy tak spierali się oboje, pociąg przeleciał.

Pasza przypadł twarzą do ziemi i załkał: "Dlaczegoś mnie wstrzymała? Ja nie chcę dłużej żyć". Starsza siostrzyczka, mądra i czuła, jęła przekonywać brata, aby porzucił czarne myśli. Długo wypadło jej namawiać go, zanim uspokoił się i przyrzekł nie myśleć o śmierci i nie pozostawiać Szury samej na świecie.

Znowu dzieci siadły przy ścianie, tuląc się wzajem do siebie, i oczekiwały świtu. Postanowiły pójść rankiem na mogiły rodziców. Mroźna noc ciągnęła się nieskończenie długo dla zziębłych, głodnych dzieci. Ale oto i poranek. Dzieci pobiegły na cmentarz, gdzie na wyznaczonym miejscu grzebano zmarłych na choroby zakaźne. U wrót cmentarza dzieci poprosiły dozorcę, aby wpuścił je i wskazał im, gdzie pochowani są ich rodzice. Ale ów odparł im szorstko: "Czyliż mało przywłóczono ich tej nocy; czyż muszę wiedzieć, kogo tutaj grzebią? Przy tym walą ich po dziesięć ciał do jednego dołu, a nieraz i po dwadzieścia".

Nie dowiedziawszy się niczego więcej, dzieci zapatrzyły się jeno zapłakanymi oczkami przez szczeliny parkanu na nieporządne szeregi pagórków z wilgotnej gliny. Długo stały tak, patrzyły i płakały, dopóki stróż ich nie odpędził. Przygnębione smutkiem, milczące dzieci, trzymając się za ręce, powracały ku ogrodzeniom kolejowym, ochronnym świadkom ich ciężkich przeżyć w ciągu pięciu dni ostatnich i rozłąki z matką. Miejsce to stało się dla osieroconych czymś bliskim, niby dom rodzinny. Pod ochroną ścian, jeły naradzać się nad tym, co czynić dalej. Niezbyt chciało im się dostać do baraku dla osieroconych dzieci: ale rozumiały dobrze, że byłoby to dla nich ocaleniem od głodu, który coraz mocniej dawał im się we znaki. Ich niewielkie zapasy żywności przepadły razem z bagażem, w którym znajdowały się pieniądze.

Strach przejmował samotne dzieci; dokuczał im głód i chłód. Skowronki wiosenne wesoło krążyły nad nimi, śpiewając swoje skromne piosenki. Jaskrawe słoneczko złościło wszystko dookoła - a w sercach sierot była mroczna noc. Smutek i wspólna niedola osobliwie zbliżyły teraz siostrę i brata. Szura stała się dla Paszy jakby drugą matką: pieściła go i pocieszała, jak mogła i mówiła: "Nie rozpaczajmy kochanie, Bóg nas nie opuści".

Już postanowili pójść do najbliższej wsi i żebrac o chleb, kiedy naraz usłyszały nad sobą szorstki okrzyk: "Co tu robicie, kim jesteście?" Przed nimi stał nieznajomy człowiek i przypatrywał się im się. Dzieci zmieszały się i nie od razu odparły, że są emigrantami i że ojciec i matka ich dopiero co zmarli. Nieznajomy kazał im iść za sobą i odprowadził ich do urzędu, gdzie przeznaczono im na mieszkanie barak dla osieroconych, do którego tak bardzo udać się nie chciały w obawie przed grożącą im rozłąką: barak dla dziewcząt znajdował się o kilka stacyj dalej. Ale, nie bacząc na błagania i łzy dzieci, Paszę odprowadzono o trzy wiorsty od stacji do baraku dla chłopców, a Szurę wysłano najbliższym pociągiem do stacji, gdzie znajdował się barak dla dziewcząt.

Łatwo sobie wyobrazić cierpienia rozłączonych dzieci; każde z nich traciło w drugim wszystko, co było mu drogie w życiu. Paszę wprowadzono do baraku, gdzie znajdowało się już 300 chłopców. Wielu przebywało tam już dosyć dawno; oswojeni z nowymi warunkami, zabawiali się figlami. Przywitali oni nowicjusza drwinami i potężnymi razami w bok i plecy - dla pierwszego zaznajomienia się. Po tygodniu Pasza postanowił uciec z baraku: warunki bytu, obojętność na potrzeby dzieci, grubiaństwo wielu chłopców, bijatyki; hałas i wstrętna wodnista zupa - wszystko to stało się dlań nieznosne. Jął tedy wypatrywać dogodnej chwili do ucieczki. Dzieciom nie pozwalano oddalać się od baraku: ale, nie mogąc zwlekać dłużej, pewnej ciemnej nocy Pasza wyszedł na podwórze, przeskoczył drewniany parkan w dogodnym miejscu i - puścił się cwałem w stronę przeciwną kolei. Coś o pięć wiorst od niej zaczynał się wielki las. Znalazłszy się w gąszczu, Pasza poczuł się spokojniejszy. Nie biegł już teraz, ale szedł, starając się nie stracić z oczu skraju lasu, żeby nie zabłądzić, a bądź co bądź znaleźć się dalej od miejsca, gdzie stał barak. Tak szedł przez długi czas, aż się znużył, legł pod drzewem i wkrótce zasnął. We śnie zdawało mu się, że go dopędzono, wciągnięto do baraku, zbito, otwierając mu usta i wlewając wstrętą postną zupę.

Jasne słoneczko już mocno grzało, kiedy maleński dezterter obudził się. Wielogłose ptaszęta po prostu ogłuszały go swoim śpiewem, jakby pochłubić się chciały przed gościem, który odwiedził ich zielone królestwo. Pasza szedł i rozmyślał, co ma czynić dalej. Postanowił wrócić do rodzinnej Sosnówki; nazwę swojej guberni zapamiętał dobrze. Jakże przyjemnie żyło się niegdyś w Sosnówce. Była tam pyszna rzeczka, w której kąpał się niegdyś z innymi chłopcami i łowił wędką ryby. Oczywiście, bardzo pragnął zobaczyć się z miłą siostrą Szurą; ale nie wiedział, jak ją odnaleźć. Nadto lękał się, że ponownie zabiorą go do baraku. Tedy

postanowił odważnie kroczyć naprzód, jak najdalej od wstrętnego baraku, a już później wywiadywać się szczegółowo o drogę do miejsc rodzinnych.

Szedł przez cały dzień, starannie unikając siół, i tylko w jednej wiosce poprosił o chleb. Gdy nastała druga noc, udał się w głąb lasu, aby tam przenocować. Znowu leżał pod wysokim drzewem i mocno zasnął. Przed samym świtaniem poczuł, że ktoś go pchnął, i że jakiś gromki głos nań zawołał: "Hej, wstawaj malcze: Coś ty za jeden? Z kim tu jesteś?" Podniósłszy oczy, ujrzał Pasza trzech zuchowatych młodzików, uzbrojonych od stóp do głów i zląkł się porządnie. - "Nie bój się, nie zrobimy ci krzywdy. Opowiedz, skąd się tu wziąłeś". Widząc, że nie są to ludzie z baraku, Pasza opowiedział im szczerze wszystko, co przeżył i dokąd zmierza. Słuchali go uważnie: widocznie spodobała się im jego śmiałość i spryt. Naradziwszy się, postanowili go zabrać. "Inaczej zginie" - mówili. - "Chłopak wyrośnie na coś dzielnego, skoro nie bał się uciec i pieszko wybrał się w drogę w rodzinne strony; trzeba go tylko wychować po naszemu". Postanowienie swoje oświadczyli chłopcu, przy czym wychwalali swój tryb życia i przyrzekli, że będzie mu u nich wybornie. Pasza nie sprzeciwiał się: bał się tych ludzi i udał się z nimi w głąb lasu. Na jakiejś polanie czekały na nich osiodłane konie, przy których był jeszcze rosły chłopiec. Ten wziął chłopca pod pachy, posadził przed sobą na jednym z koni i pojechali. Długo jechali po leśnych, zawiłych ścieżkach; wreszcie zatrzymali się; powiedli gdzieś konie, a sami pochyliwszy się i, pociągając za sobą Paszę, weszli w jakiś otwór pośród drzew, zwalonych przez burzę, a po kilku chwilach wędrówki przez gęszcz leśnego parowu, znaleźli się na polanie, gdzie spotkali jeszcze około dwudziestu ludzi, również uzbrojonych, wśród których było kilka kobiet. Wszystkie oczy zwróciły się na przyprowadzonego chłopca, brudnego i obdartego. Posypały się pytania: Co za jeden, skąd? Jeden z mężczyzn, najwidoczniej herszt bandy, zapytał. "Jak cię zowią?" - "Pasza - Paweł" - odpowiedział śmiało malec. - "A nazwisko jakie?" - "Tichomirow". - No, to nam nie odpowiada. Nazwisko twoje będzie "Smoluch", ponieważ jesteś brudny i zasmolony" - żartobliwie rzekł herszt. Odtąd przezywano go nie inaczej jak "Smoluch".

Pasza zrozumiał, że dostał się do bandy rozbójników. Powoli oswoił się z nowym życiem, i przypadło mu ono nawet do gustu. Wolność bez granic, dobre jadło i nastrój wesoły, pijany - wszystko zbliżyło go z tymi ludźmi, i przestał nawet myśleć o Sosnówce. Nie zapomniał tylko o siostrzyczce i często tęsknie rozmyślał, że może ona już nie żyje.

Mały "Smoluch" wkrótce stał się ulubieńcem wszystkich rozbójników, ich rozrywką. On zaś zainteresował się mocno ich przygodami i niecierpliwie oczekiwał nowej zdobyczy. Co dnia oswajał się coraz bardziej z nowym życiem i zapominał o tym, co mu niegdyś mówili rodzice o grzechu kradzieży; teraz mu było przyjemnie oglądać zagrabione rzeczy i słuchać opowiadań zbójców po ich powrocie z "roboty", jak nazywali swoje występne rzemiosło.

Minęło lat osiem i szesnastoletni "Smoluch" brał już żywy udział w grabieżach i rozbojach. Dzięki swojej odwadze, zręczności i sprytowi został pomocnikiem herszta. "Roboty" bandy budziły zgrozę u ludności okolicznej w promieniu stu wiorst dookoła. Nieprzetrzebione lasy dozwalały im prowadzić swoje rzemiosło bez obawy. Wydawało się, że nikt ich nie odnajdzie, nie zaniepokoi. Ograbiali wszystkich, którzy wpadli im w ręce; nierzadko zabijali. Ale wszystko ma swój kres. Pewien wypadek na pozór dla rozbójników zwykły, niespodziewanie wywołał zupełny przewrót w ich życiu. Było to późną jesienią. Część bandy ze "Smoluchem" na czele napadła na dwóch ludzi, przejeżdżających na wozie, zabiła ich i obrabowała. Zabrano konie, odzież i buty zabitych. Pieniądzy przy ofiarach nie znaleziono, zaledwie 3 ruble i 50 kopiejek a w worku obok nędznych sprzętów domowych znalazły się też dwie książki, które zbójce zamierzali z początku porzucić, później zostawili na bibułę do

zwijanych papierosów. Książki schował "Smoluch". Wieczorem, po obejrzeniu całej zdobyczy, wyjął też książki i jął je przeglądać. Jedna nosiła tytuł "Głos wiary" i była mu nieznana; o drugiej, zatytułowanej "Nowy Testament", zachował mgliste wspomnienia z czasów dzieciństwa; podobną książkę mieli jego rodzice w Sosnowcu. Leżąc na swoim posłaniu, "Smoluch" z nudy jął odczytywać te ustępy, na które natrafił przypadkiem przy przerzuceniu kart, i oto czyta: "... i nie ma, kto by szukał Boga... grobem otwartym jest gardło ich... językami swymi zdradzają, jad żmii pod wargami ich; których usta pełne przekleństwa i gorzkości. Nogi ich prędkie do przelewu krwi. Zniszczenie i nędza na drogach ich. A drogi pokoju nie poznali; nie ma bojaźni Bożej przed oczyma ich". [Rzym. 3:11-18] Paweł pomyślał: i dawniej byli ludzie tacy, jak my: "Nogi ich prędkie są do przelewu krwi". Przypomniawszy sobie niedawny obraz jak pędzili na żwawych koniach za przejeżdżnymi, usiłującymi umknąć, jak tamci błagali o życie; ale bez odrobiny miłosierdzia on i towarzysze zamordowali ich. Przy tym wspomnieniu "Smoluchowi" zrobiło się jakoś przykro; pomyślał: "Co to byli za ludzie? Dlaczego mieli przy sobie tę książkę? Jął przerzucać "Nowy Testament" w nadziei, że poweźmie jakąś wiadomość o zabitych. Wszelako nie znalazł nic, żadnego dokumentu, który pozwałaby dowiedzieć się, kim byli. Jeno na tytułowej karcie widoczny był krótki napis, brzmiący jak następuje: "15-go maja 1898 roku - dzień mojego nawrócenia do Pana, pokuty i odrodzenia. W dniu tym On mi przebaczył i obmył mnie Swoją świętą krwią".

"Smoluch" nie mogąc zrozumieć sensu tego napisu, przewracał nadal karty i odczytywał poszczególne ustępy. "Alboż nie wiecie, że niesprawiedliwi królestwa Bożego nie odziedziczą?" Tu następuje wyliczenie różnego rodzaju grzeszników, po czym: "I takimiście niektórzy byli, aleście omyci, aleście usprawiedliwieni w imieniu Pana Jezusa i przez Ducha Boga naszego". [I Kor. 6:9-11] Następnie wzrok jego trafił na modlitwę jakiegoś człowieka, który mówił: "Oto Panie, połowę majątności swoich dam ubogim. A jeśli kogo w czym podszedł, oddaję w czwórnasób". Przerzuciwszy jeszcze kilka kart, już pociągnięty został urokiem 23 rozdziału Łukasza, gdzie jest mowa o ukrzyżowaniu Chrystusa. Najbardziej zajęło go to, że wraz z Chrystusem ukrzyżowani zostali dwaj rozbójnicy, że jeden z nich pokutował i wyznał swoje winy, a za ten akt skruchy Chrystus obiecał mu raj.

"Smoluch" zamknął książkę, położył ją pod poduszkę i, otuliwszy się kołdrą, usiłował zasnąć. Ale jakoś sen uciekł odeń. Duszę jego zdejmowała trwoga. Na próżno starał się odpędzić natrętne myśli, znaleźć zapomnienie we śnie, bezustannie powracał w pamięci obraz, jak owi dwaj błagali na kolanach o darowanie im życia...

Dopiero nad ranem pokrzepił się "Smoluch" ciężkim snem, ale podniósł się z jakimś nowym niepokojem w sercu. Towarzysze wkrótce spostrzegli osobliwy wyraz jego twarzy i nie wiedzieli, czemu go przypisać mają. Niektórzy sądzili, że zachorował. Tak chodził przez parę dni, niby pomieszany, a nikt nie mógł dowiedzieć się odeń, co się stało. Towarzysze jednak nie zaprzestawali zapytywać o powód jego zadumy, aż w końcu otworzył serce przed niektórymi, wyznając, iż nie może uspokoić się od chwili, gdy coś wyczytał z książki, znalezionej przy zabitych. Wszystkim było nieswojo: Cóż to za księga, która wprawiła w taką posępność ich wesołego towarzysza? Jedni żądali, aby dał im tę czarodziejską książkę, iżby mogli ją spalić; inni, zaciekawieni, prosili, aby im coś z niej przeczytać. Wreszcie postanowiono to ostatecznie. I oto, gdy wszyscy byli zebrani, przeczytał im "Smoluch" te miejsca, które go tak bardzo poruszyły. Wszyscy słuchali z napięciem. Już na początku czytania pewien młody rozbójnik z przekonaniem rzekł, że książka ta, to Ewangelia, którą zna bardzo dobrze: "Matka moja była sztundystką i ciągle czytała Ewangelię; prowadziła też mnie

nieraz na zebrania dziecięce, gdzie czytano tę książkę, a potem dzieci modliły się i śpiewały".
[1]

Czytanie trwało długo, po czym słuchacze rozeszli się w milczeniu po kątach. Większość była w przygnębionym nastroju. Nikt nie był w stanie pojąć, czemu książka ta wywarła na nich takie wstrząsające wrażenie. Od tego dnia co pewien czas schodzono się i czytano Nowy Testament, który działał na nich nieodparcie.

Nie minął jeszcze miesiąc, a już młody rozbójnik, syn sztundystki, szczerze oświadczył, że nie zdoła nadal zajmować się swoją występłą robotą. Po nim oświadczył to samo "Smoluch". Towarzysze już widzieli obu modlących się ze łzami w oczach. W końcu złożył takie wyznanie sam herszt. Wszyscy zgodzili się z nim. Ale stanęła przed nimi kwestia: co czynić nadal i jak zwrócić się na uczciwą, drogę życia? Wszakże w tym celu należałoby przede wszystkim oddać się w ręce władz. Nadto, czy są w stanie jeśli nie dziesięciokrotnie wynagrodzić, to chociażby byle jak zaspokoić wszystkich, którym wyrządzili krzywdę? Oczywiście, jest to niemożliwe. Pozostawało tedy oddać się władzom. Na to nie zgodziła się większość; ale ów młody zbój; który pierwszy postanowił prowadzić nowe życie, a z nim Smoluch" i jeszcze pięciu zdecydowało, że pójdą i przyznają się do swoich zbrodni przed władzą.

Nastał dzień, kiedy miano się rozejść na zawsze. Pożegnanie było wzruszające. Towarzysze prosili "Smolucha", aby na ostatek przeczytał im coś z Ewangelii. Natrafił na ustęp, w którym mowa jest o dwóch opętanych przez biesy, wychodzących z grobów tj. z cmentarnych pieczar, słowem o tych dwóch, nader opętanych, z których Chrystus wypędził złe duchy, po czym wyleczeni poszli za Nim. "To samo stało się i z nami" - dodał "Smoluch" - "my też porzucić chcemy nasze grzeszne życie. Dostyc już krzywdzenia ludzi. Pójdziemy śladem Chrystusa". Z tymi słowy "Smoluch", padłszy na kolana, wyznawał głośno swe zbrodnie; pokutowali także inni. W ogólnym płaczu i jęku słyszało się okrzyki, słowa bez związku: "Przebacz... nam... mnie... Nie pamiętaj mi... Obmyj krwią Swą... Daj moc... Nie będę... Nie chcę... Przysięgam" itp. - Siedmiu zbrojczy, ucałowawszy pozostałych na pożegnanie, udało się z orężem w rękę do pobliskiego miasta, podczas gdy inni obrali sobie różne drogi podług swojego uznania.

Mocnym i stanowczym krokiem podchodził do miasta "Smoluch" z towarzyszami. Już na pierwszej ulicy zwrócili na siebie uwagę przechodniów, zdumionych, skąd wzięła się ta grupa ludzi, odzianych jaskrawo i zbrojnych. Na rogu jednej z głównych ulic prosili policjantów o wskazanie im miejsca zamieszkania prokuratora Sądu Okręgowego. Policjant wskazał im wielką, dwupiętrową kamienicę na tejże ulicy. Rozbójnicy weszli do domu, umówiwszy się wprzód, że "Smoluch", jako najśmielszy i najwymowniejszy, wyłoży ich sprawę prokuratorowi.

Znaleźli się w wielkiej i jasnej komnacie z froterowaną posadzką, gdzie oczekiwało już około dwudziestu ludzi. Przy drzwiach do gabinetu stał woźny. "Smoluch" zwrócił się doń: "Prosimy zawiadomić pana prokuratora, że musimy z nim mówić". Woźny z ukosa spojrzał podejrzliwie na uzbrojonych ludzi. - "W jakiej sprawie?" - "Bardzo ważnej" - odparł "Smoluch". Woźny znikł za drzwiami. W parę minut potem zbrojcy stanęli przed sędziwym jegomościem o twarzy budzącej szacunek, na której malowało się lekkie zaniepokojenie z powodu nagłego zjawienia się przed nim siedmiu uzbrojonych ludzi. Ale równie wzruszeni byli wobec przedstawicieli prawa rozbójnicy, którzy zdecydowali się w swojej tajdze na taki krok niezwykle, jak wyznanie przewinień. Drżącym głosem rozpoczął "Smoluch".

- Pozwól pan, że wyjaśnimy, kim jesteśmy i dlaczego znaleźliśmy się tutaj. Jesteśmy przestępcami. Ale nie lękaj się pan nas. Przyszliśmy tu przyznać się i pokutować: Poznaliśmy, jakie czyniliśmy zło, i przyszliśmy ponieść karę, wskazaną prawem za rozbój. Postąp z nami; jak każe sprawiedliwość. A oto składamy broń naszą.

Przy tych słowach "Smoluch" i jego towarzysze szybko złożyli broń na stos. Prokurator tak się zmieszał, że nieprędko zapanował nad sobą. Po raz pierwszy w życiu zdarzyło mu się usłyszeć spowiedź całej grupy ludzi, dobrowolnie oddających się w ręce przedstawiciela prawa. W końcu zawezwał policję: W parę chwil potem zjawił się oddział uzbrojonych żołnierzy z komendantem policji na czele. Po sporządzeniu protokołu zeznań, skierowano sprawę do sędziego śledczego. Kiedy podczas badania "Smoluch" opowiedział w ogólnych zarysach historię swego życia i wyjaśnił przyczynę, która skłoniła go, iż wraz z towarzyszami postanowił zejść z dróg przestępstwa, prokurator i inni obecni byli głęboko wzruszeni i niektórzy z trudem ukrywali łzy. Trudno im było pojąć, że tak nagle, a tak gruntowna zmiana nastąpiła tylko na skutek zaznajomienia się z Ewangelią. - "Jam już nie Smoluch, ale Paweł Tichomirow - mówił młodzian. - Chcę służyć Bogu i ludziom. Bez szemrania zniosę należną mi karę; jestem teraz w rękach waszych. Podobne zeznania złożyli jego towarzysze.

Prokurator, poruszony, wydał rozkaz, aby wszystkich siedmiu niezwłocznie zaprowadzono do więzienia i zamknięto w osobnych celach aż do ukończenia śledztwa. Byłych rozbójników odprowadzono do więzienia. Pozostawszy sami, prokurator i komendant policji długo omawiali niezwykle zdarzenie. Najczęściej zbrodniarze albo zaprzeczają swojej winie, albo przyznają się do niej z trudem i częściowo, jeno pod ciężarem nieodpartych poszlak, gdy pojmano ich na miejscu przestępstwa. Ale ci sami przyszli i złożyli dobrowolne zeznanie. Zaprawdę, wielką jest moc Ewangelii, skoro tak odradza ludzi.

Komendant wyszedł, a prokurator, ukończywszy zajęcia, opowiedział zaraz żonie swojej o skrusze rozbójników. Zdziwiła się wielce i po namyśle rzekła: "Jeden z ukrzyżowanych z Chrystusem zbójców podobnież pokutował, ale był przybity i nie mógł nigdzie ujsć; oni zaś mogli w dalszym ciągu ukrywać się w tajdze i dopuszczać się grabieży. Jest to więc zdumiewający wypadek, nieznany w historii sądownictwa".

Nadszedł wieczór, a prokurator i żona jego nie ochłonęli jeszcze. "Jak myślisz, Taniu" - rzekł prokurator, - "może byśmy poczytali Ewangelię? Bodaj dowiemy się, czym ona tak działa na ludzi; przecież nie znamy jej wcale". Ja ją nieco czytałam" - z godnością odparła Tatiana Aleksandrowna, - "nie pojmuję jednak, co w niej mogło tak na nich podziałać". Prokurator, Jerzy Mikołajewicz, jął szukać Nowego Testamentu w swojej bibliotece, podczas, gdy żona wydawała zarządzenia w kuchni w sprawie kolacji. Tymczasem prokurator, włożywszy okulary, przerzucał kartki Nowego Testamentu. Uwagę jego zatrzymał naprzód rozdział 12 Ewangelii Jana. Czytając pochwalał w myśli Marię, iż nie pożałowała cennych olejków wonnych dla Chrystusa, oraz potępiał z punktu widzenia prawa karnego zdrajcę Judasza, podciągając czyny skrytobójcy i złodzieja pod odnośne artykuły. Zdumiewał się potęgą Chrystusa, wskrzeszającego już rozkładające się ciało Łazarza i dziwił się niewierze uczonych w Piśmie, którzy byli naocznymi świadkami niesłychanego cudu. Zamyślił się głęboko nad przypowieścią o ziarnie pszenicy, które umrzeć musi, aby przyniosło owoc, ale nie mógł zrozumieć właściwego sensu przenośni. Kiedy zaś doszedł do słów: "A Ja, gdy będę podwyższony od ziemi, wszystkich pociągnę do siebie", uczuł naraz, jak bliskim i drogim stał mu się Ukrzyżowany; jak dusza w nim rozgrzała się i pociągnięta zastała do krzyża, z którego padło wielkie słowo: "S p e ł n i ł o s i ę". Pomyślał nadto, czy to właśnie nie jest ta siła, która

tak pociągnęła Tichomirowa. Wreszcie przy odczytywaniu końcowych słów rozdziału 12-go opadł go jakiś wielki lęk: "Kto mną gardzi, i nie przyjmuje słów moich, ma swego sędziego; słowa, którem ja mówił, te osądzą go w dzień ostateczny". Teraz już stało się dlań jasne, czemu rozbójnicy porzucili swoje zbrodnicze sprawy.

Ale oto powróciła Tatiana Aleksandrowna. "Nad czym tak zamyśliłeś się? Co cię tak uderzyło?" - spytała. Mąż jął wyjaśniać, ale temat niezwykle i myśli niezwykle nie układały się w słowa, i żona nie mogła go zrozumieć. Wieczera się skończyła. Nocą Jerzy Mikołajewicz nie mógł zasnąć. Ledwie zamknie oczy słyszy nad sobą: "Słowo moje osądzi"... I wydaje mu się, że jest podsądnym, że słyszy artykuły prawa Bożego, które potępiają jego, prokuratora, za wszystkie wykroczenia, jakie popełnił był w życiu, skazując go na wieczne zamknięcie w ciemnościach zewnętrznych; on zaś jakoby szuka obrońcy i znaleźć nie może. Chwilami jedynie prokurator zapadał w krótki, niespokojny sen. Rankiem opowiedział żonie, co przemyślał i co odczuwał z wieczora i nocą; lecz ona tłumaczyła jego stan przemęczenia nadmiarem zajęć i nerwowością; gdy zaś wyjaśnił, iż postanowił porzucić urząd prokuratorski, przelękła się i pomyślała, że oszalał. Ale Jerzy Mikołajewicz nie odstąpił od decyzji. Stało się dlań jasne, że wywyższany na krzyżu Syn Boży pociągnął i jego, prokuratora, ku sobie, a odtąd będzie dlań osobistym Zbawicielem.

* * *

Pawła Tichomirowa i jego towarzyszy osadzono w celach. Wszyscy sędziowie śledczy, którzy badali byłych rozbójników, zdumiewali się ich krokiem, a zwłaszcza tym, że tak całkowicie ich odrodził wpływ Ewangelii. Oto jaka jest moc Boskiej księgi, kiedy podchodzi się ku niej z czystym sercem i pragnieniem poznania prawdy. Wkrótce w mieście jęto mówić nie tylko o skrusze byłych rozbójników i nagłym, niezrozumiałym podaniu się do dymisji prokuratora, ale i o tym, że izolacji przestępców zażądał duchowny więzienny, utrzymujący, że jakoby Tichomirow i jego towarzysze zwodzą innych aresztantów do przyjęcia ich wiary. Ale ogień Ewangelii ugasić było trudno; toteż płonął on we wszystkich celach. Wielu aresztantów i niektórzy dozorczy nauczyli się na pamięć rozdziałów 12-go i 16-go Dziejów Apostolskich, tak je sobie upodobawszy.

Po roku siedmiu więźniów stanęło przed sądem. Nowy prokurator nie miał potrzeby zaostreć swej mowy oskarżycielskiej wobec dobrowolnego przyznania się do winy, a był prokurator, który występował teraz w charakterze obrońcy, prosił przysięgłych o wyrozumiałość dla ludzi, którzy, przyznawszy się do winy, chcieli rozpocząć nowe życie, pracowite i uczciwe. Jednakże skazano ich na dziesięć lat ciężkich robót. Wysłuchali kornie wyroku, świadomi, że nań zasłużyli, i zrzekli się prawa apelacji. Sądzone ich przy drzwiach otwartych. Kiedy udzielono im ostatniego słowa, każdy w prosty sposób wyraził żal, iż długie lata krzywdził bliźnich; każdy mówił o wpływie nań Ewangelii. Publiczność była wzruszona; czuło się, że w wielu sercach ziarno Słowa Bożego zapuściło pędy.

Po wyroku skazanych wysłano z osobna, z wyjątkiem Tichomirowa i Sołowiewa, którym wyznaczono wspólne miejsce zesłania - za Bajkałem. Przy pożegnaniu wszyscy dawali sobie obietnice pozostawania we wszelkich okolicznościach na drogach uczciwości i wierności Bogu, oraz świadczenia o Jego miłości. Zgodnie z tym we wszystkich etapowych więzieniach rozpowiadali, jak ocaliła ich Ewangelia, i mówili o miłości Boga dla skruszonych grzeszników. A wszędzie znajdowali się ludzie, przysłuchujący się temu świadectwu z uwagą i przyjmujący je do serca. Zwłaszcza wrażliwi byli na żywe słowo Tichomirowa i Sołowiewa dzielący ich los katorżnicy, z których po jakimś czasie niektórzy oddawali się całkowicie

Bogu. Po upływie dwóch lat nawet władze zauważyły, że niesforni zwykle katorżnicy widocznie przycichli, a niektórzy zachowywali się bez zarzutu.

Tichomirow po drodze na Bajkał wszędy dopytywał się o los przesiedleńców z mohylewskiej guberni w nadziei, że dowie się czegoś o swoich rodakach, a zwłaszcza o tym, czy żyje jego siostra. Listy bowiem posyłane do wsi rodzinnej, nie przyniosły mu odpowiedzi. Jakże często rozmyślał o miłej Szurce, gorejąc pragnieniem opowiedzenia siostrze o swoich przeżyciach, a zwłaszcza o odwróceniu się od uczynków martwych ku żywej wierze w Chrystusa.

Wreszcie po upływie kilku lat, z okazji jakiegoś szczęśliwego zdarzenia w życiu państwa, ogłoszono amnestię: Paweł Tichomirow i Grzegorz Sołowiew zostali zwolnieni przed terminem. Przy pożegnaniu się z tymi, którzy przez nich uwierzyli na katorze, polecali ich wszystkim Bogu, jako swoją duchową dziatwę, tamci zaś z płaczem rozstawali się ze swymi duchowymi ojcami. Teraz obaj znaleźli się w drodze do Irkucka i Tomska; szli pieszo. Marzyli o dostaniu się do Rosji Europejskiej, nade wszystko zaś do wsi rodzinnych; które zaledwie pamiętali. Wszyscy spotykający ich w drodze i na noclegach, ciekawie rozpytywali się, kim są i dokąd dążą. Historia byłych rozbójników zajmowała wszystkich, wywoływała roztkliwienie i zapal do służenia Bogu: Niekiedy po wsiach znajdowali wierzących braci i siostry, z którymi spędzali wieczory przy wspólnej bratniej rozmowie i czytaniu Słowa Bożego. Wierzący cieszyli się z triumfu Ewangelii jawnego w nawróceniu ginących grzeszników i sławili imię Pana. Zwłaszcza w pewnej wsi, gdzie spędzali niedzielę i opowiadali sporej gromadzie o swoim życiu i zbawieniu, nastąpiło wielkie przebudzenie: kilkadziesiąt dusz nawróciło się do Pana. Dało to powód do ogromnej radości.

Była wczesna wiosna. Rzeki rozlały. Przyroda budziła się z długiego snu zimowego; wędrowne ptaki chmarami powracały do dawnych rodzinnych gniazd, a Tichomirow i jego towarzysz również rwali się do ojczyzny, gdzie gniazda ich z dawna były zburzone. Starali się nie zbaczać od toru kolejowego. Tichomirow mimo wysiłku nie był w stanie przypomnieć sobie nazwy stacji, gdzie stracił rodziców i siostrę. Pragnął spojrzeć też na owe ściany, pod których ochroną wycierpiał tyle w dzieciństwie. Na to wspomnienie łzy polały się po jego twarzy i wykrzyknął: "Ach, drodzy moi! Porzuciliście mnie i oto muszę błądzić samotnie po świecie!". Tutaj przypomniał sobie, że i Syn Boży nie miał przytułku na ziemi i był samotny nawet pośród krewnych swoich.

Dzień chylił się ku wieczorowi, gdy wędrowcy podeszli do miasteczka na brzegu rzeki, nie opodal kolei. Na pierwszej ulicy spytali, czy nie ma tu wierzących. Wskazano im niewielki piękny domek pośród wysokich jodeł. Podeszedłszy bliżej, ujrzeni bawiącą się parkę dzieci, tuż zaś zajętą czymś młodą dobrze odzianą kobietę, która powitała ich życzliwym uśmiechem. Wyjaśnili jej, że są wierzącymi i proszą o nocleg. Kobieta zaprosiła ich do domu, oznajmiając, że dla braci zawsze znajdzie się miejsce. Przywołała męża, który kopał grzędy w ogrodzie. Ten zjawił się natychmiast z przyjaznym powitaniem i pozostał z nimi, podczas gdy gospodyni przygotowywała herbatę. Po nastawieniu samowaru wydoiła parę krów i nakryła do stołu. A czegoż tu nie było: spore kawałki śmietankowego masła, śmietana, wielki dzban mleka dwa - trzy gatunki pieczywa, gotowane jaja i doskonały chleb pszenny - wszystko to nęciło oczy zgłodniałych wędrowców. Duża lampa rzuciła światło na obrus śnieżnej białości, błyszczący samowar kipiał wesoło. Uprzejma gospodyni weszła w obszytym koronkami białym fartuchu i rzekła do męża: "Proś braci do stołu." - "Prosimy drogich gości". Wszyscy podeszli i gospodarz wezwał błogosławieństwo Boże. Dziękował Bogu za miłość i troskę, za drogich gości, prosił o zachowanie im wiary i o błogosławieństwo jadła.

Tichomirow nigdy dotąd nie zasiadał przy tak obfitej zastawie i w takim gościnnym kółku. Zachwyty i tkliwość przepełniały jego serce. Dzieci - chłopczyk i dziewczynka - uważnie przyglądały się gościom i przysłuchiwały się rozmowom. Tichomirow przed herbatą przerwał opowieść na tym, gdy rozbójnicy w głuszy leśnej otworzyli zabraną przejezdnym Ewangelię. Teraz na prośbę gospodarza ciągnął opowieść dalej: Więc opowiedział barwnie, jak Ewangelia przesiąkała z wolna w duszę jego i towarzyszy, jak zbudziła skrucę i nakazała im porzucić zbrodniczy sposób życia i oddać się w ręce sprawiedliwości; jak uwierzył prokurator, jak ich sądzono; odmalował też swój żywot w więzieniach etapowych i lata ciężkich robót aż do amnestii. Gospodarze nie spuszczały oczu z opowiadającego, a gospodyni często ocierała łzy, jakby pragnąc ukryć wzruszenie. Czas płynął niepostrzeżenie. Wielki zegar dźwięcznie wydzwonił północ. Wszyscy uklękli i dziękowali Bogu za Jego cudowne dzieła ku zbawieniu grzeszników. Kiedy goście powstali, gospodyni spytała:

- Dokądże pójdziecie teraz, bracia nasi?
- Do Rosji, do wsi rodzinnej - odparł Tichomirow.
- A czy macie tam krewnych? - pytała dalej.

- Ot, Sołowiew, ma tam jeszcze matkę, wierzącą; mieszkała w guberni kijowskiej. Ja zaś nie mam nikogo; ni ojca; ni matki. Po prostu chcę zobaczyć wieś rodzinną w guberni mohylewskiej, a nadto pragnę dawnym współmieszkańcom opowiedzieć o Bogu i Jego miłości dla nas.

- Czy dawno jesteście sierotą? - spytała gospodyni.
- O tak mając lat osiem straciłem rodziców tu, na Syberii; po drodze, gdy udawaliśmy się na miejsce przesiedlenia. Ojciec zmarł dwa dni przed matką.

Gospodyni oburącz uchwyciła się stołu; pochylona naprzód wbiła wzrok w Tichomirowa. Mąż zdziwiony był, że tak zajęła się rozpytywaniem zamiast przygotować gościom nocleg. A gość ciągnął:

- Rodzice osierocili mnie i nieco starszą siostrzyczkę. Nazajutrz po śmierci matki straciłem ją z oczu, nic nie wiem o niej; zapewne zginęła, jak ginie mnóstwo sierot w niemożliwych warunkach życia emigrantów. Była to dobra dziewczyna, litowała się nade mną, jak rodzona matka.

Tichomirow rozplakał się. Śmiertelnie blada gospodyni, zalewając się łzami, krzyknęła:

- Czy to ty jesteś, drogi bracie Paszo? - mów prędzej. Serce powiada, że to ty!
- Szura, ciebie to widzą oczy moje? Aniele mój, miła siostrzyczko! - wołał, płacząc jak dziecko. - Tak to ja, siostra twoja. O, jakże opłakiwałam ciebie!

Rzucili się sobie w objęcia, całowali się ze łzami. Z kolei Tichomirow ścisnął dzieci, które wtórzyły płaczem matce. Całował je i męża siostry. W ogólnej radości wziął udział także Sołowiew, wstrząśnięty sceną niespodziewanego spotkania się rodzeństwa: O, co to była za radość! Szura nie wiedziała po prostu, co ma począć. Wciąż podchodziła do Pawła i obejmowała go, wołając: "Czyliż naprawdę widzę ciebie, bracie? Co za szczęście! Kiedy podeszłiscie do domu, zdało mi się, jakbym znalazła coś kosztownego; serce napełniło się dziwną radością. Nie rozumiałam, dlaczego. Tak bardzo chciałam dać wam przytułek i ugościć was. Zresztą po dawnej mojej niedoli, zawsze witam chętnie potrzebujących, ale jakoś osobiście pociągnęło mnie coś ku wam. Teraz już wiem; dlaczego: przyszedł drogi braciszek, którego nie

widziałam od lat dwudziestu. O, radości"! Znowu upadli na kolana i sławili Pana tak gorąco, jak nigdy dotąd. A nawet pięcioletnia córeczka Szury rzekła: "Dobry Panie Jezusie, dziękuję Ci, żeś przywiódł do nas wujcia Paszę". Płakali wszyscy. Aleksy Bazylewicz, dziękował Bogu za taki cenny dar dla jego żony.

O trzeciej po północy jeszcze nie spano; nawet dzieci się nie pokładły. Znowu pito herbatę, gwarzono; wreszcie, poleciwszy się Bogu, wszyscy rozeszli się przed świtem. Po przeżytych wzruszeniach sen ich nie był spokojny. Pawłowi marzyło się, że znowu jest w lesie i czyta towarzyszom Ewangelię... żegnał się z nimi; potem był prokurator, sąd, więzienia etapowe, katorga... . Gdy się obudził i przekonał, że to tylko sen, znowu sławił Pana. Rano przy herbacie nowe zdziwienie i nowe zachwyty z powodu łaski Bożej i dbałości o sieroty. Szura znowu żądała, aby brat opowiedział jej wszystkie swoje przeżycia od momentu rozstania przy zabudowaniach kolejowych. Ona też wiele wycierpiała w baraku dla dziewcząt, gdzie pozostawała do późnej jesieni: Nastąpiły mrozy, a baraku nie ogrzewano. Wybuchnęły epidemie, dziesiątkujące dziatwę. Wówczas z okolicznych siół zjawili się poczcwi ludzie, którzy zabrali do siebie dzieci, aby uchronić je od zmarznięcia. Szurę wzięła biedna wdowa wierząca, mająca już czworo dzieci. W małej izdebce pod płaskim dachem z darni spędziła Szura zimę u ciotki Duni. Chleba nie brakło. Ciocia Dunia zawsze czytała Nowy Testament, modliła się i lubiła czytać, zwłaszcza Ewangelię. Mając lat czternaście, Szura nawróciła się świadomie do Boga, oświadczyła, że chce przyjąć chrzest, otrzymała go i została przyjęta do zboru. Minęły lata, Szura wyrosła, okrzepla, słynęła jako najlepsza śpiewaczka w chórze. Wszyscy ją kochali. Nikomu nie przyszło do głowy, że Szura nie jest córką cioci Duni: Kochały się bardzo. Chór tego sióła nieraz jeździł do innych wsi, a nawet miast, pracując dla Pana. Kiedyś postanowiono odwiedzić miasteczko, w którym Szura mieszka obecnie. Pan obficie pobłogosławił pracę chóru dla Niego. Pod wrażeniem natchnionych mów towarzyszącego im kaznodziei i pięknych śpiewów, nawróciły się do Pana dziesiątki ludzi, a wśród nich także młody buchalter miejscowego domu handlowego. W rok potem został mężem Szury. Odtąd żyje ona z Aleksym Bazylewiczem w miłości i zgodzie; mając dwoje dzieci.

Kiedy Szura skończyła opowieść, Paweł przypomniał jej, jak to zamierzał być po śmierci rodziców rzucić się pod pociąg, a ona, płacząc, odradziła mu ten krok rozpacz, zapewniając go: "Nie upadaj na duchu, kochanie, Pan Bóg nas nie opuści". Teraz oboje przypomnieli słowa psalmisty: "Śpiewajcie Bogu, śpiewajcie psalm imieniowi Jego. Gotujcie drogę Temu, który jeździ na obłokach. Pan jest imię Jego. Radujcie się przed obliczem Jego. Ojcem jest sierot i sędzią wdów, Bogiem w przybytku swym świętym. Bóg, który samotne w rodowite domy rozmnaża, wywodzi więźniów z oków...". [Ps. 68:5-7] I znowu sławili Pana.

Szura zgodziła się na zamiar Pawła udania się do ojczyzny, aby powołać do Chrystusa pozostałych tam krewnych i znajomych, ale ją samą serce popychało ku towarzyszeniu mu i pomaganiu w pracy nad wierzącymi. Aleksy Bazylewicz dał zezwolenie, przyrzekając pilną opiekę nad chłopcem, gdyż dziewczynkę Szura postanowiła zabrać ze sobą. On też udzielił środków na drogę.

Po trzech dniach jechali już do Rosji Europejskiej. Oto wreszcie i gubernie samarska, saratowska, penzeńska, woroneżska, kurska i kijowska. W Kijowie Sołowiew pożegnał Pawła i Szurę, udając się do swej wsi i obiecując przyłączyć się do nich po odwiedzeniu matki; oni zaś odjechali do guberni mohylewskiej. Otóż i rodzinna Sosnówka. Tu rozpytywać jeli o Tichomirowych, i okazało się, że w Sosnówce mieszkają dwaj rodzeni bracia ojca, dwie ciotki i kilku dalszych krewnych. Wszyscy oni dziwili się przy spotkaniu, gdyż słyszeli, że

Paweł i Szura jakoby rychło zmarli po rodzicach, nie dojechawszy do celu podróży. Każdy prosił ich w gościnę. Wkrótce dowiedzieli się, że odnalezieni młodzi krewniacy są wyznawcami Ewangelii. Kiedy proszono ich aby wypili z okazji przywitania, wymawiali się tam, że dla chrześcijan nieodpowiednie jest pić wódkę. Ale dlaczego? - dziwili się mieszkańcy Sosnówki. Wszakże i oni są chrześcijanami, a piją gorzałkę przy każdej sposobności. Było to zwykle pobudką do rozmów po czym przystępowano do czytania Słowa Bożego. Silnie działała na wszystkich opowieść Paszy o drogach, jakimi dostąpił zbawienia. Prawie co wieczora zbierano się wokół Tichomirowa, aby słuchać Słowa Bożego, zwolna przebijała się kora zastarzałych uprzedzeń zewnętrznej religijności. Wielu znalazło w Chrystusie swego osobistego Zbawcę i postanowiło oddać się Panu.

Ale oto i nowe doświadczenie... . Wzburzyło się duchowieństwo miejscowe i doniosło okolicznej policji, iż przyjechał jakiś katorżnik i zachwiał w ludzie wszystkie fundamenty prawosławnej wiary, o ile zaś władze nie będą przeciwdziałać, to od nowej nauki zachwiać się mogą podstawy porządku społecznego. Nocą zjawił się w mieszkaniu Tichomirowych policjant i zaprowadził Pawła do komisarza okręgu. Rankiem w kancelarii znaleźli się też sędzia śledczy i duchowny. Zbadano Pawła i sporządzono protokół o agitacji na rzecz nowej wiary. Tichomirowa wysłano pod konwojem do więzienia powiatowego.

Szura bolała z powodu brata. Musiała wracać na Syberię, nie zobaczywszy się z nim, gdyż widzenia z podsądnymi nie były dozwolone. W kilka dni potem otrzymała list tej treści: "Droga siostrzo Szuro! Proszę, nie smuć się z mego aresztowania. Cieszę się ogromnie, że już teraz nie jako zbój i złodziej, lecz jako chrześcijanin dostąpiłem zaszczytu wzięcia udziału w cierpieniach mego Zbawiciela. Cieszę się z tego niewymownie, ponieważ w więzieniu mnóstwo dusz zatraconych oczekuje także zbawienia, które mogą obwieścić im w Chrystusie. Nie smuć się, ale módl się za mnie. Całuję Ciebie, męża i dzieci Wasze". Do rozprawy minął rok, a Paweł przebywał już w trzech więzieniach. Wszędzie głosił Chrystusa i wszędzie grzesznicy się nawracali na drogę zbawienia. Kapelani więzienni prosili władze, aby uwolnił ich od heretyka, z którym nie można było sobie poradzić. Sąd skazał Tichomirowa na dwuletnie zesłanie do guberni jeniejskiej za "zwodzenie prawosławnych do sztundyzmu". W istocie okazało się, że w samej Sosnówce stu ludzi przestało chodzić do spowiedzi u popa i modlić się przed ikonami.

I znowu Paweł przez więzienia etapowe był odesłany na tak dobrze znaną mu Syberię. Zdołał zawiadomić Szurę i jej męża, jakim pociągiem aresztanckim przejeżdżać będzie przez najbliższą stację. Przyszli, ale mogli widzieć go tylko przez kraty więziennego wagonu. Szura żałośnie płakała, patrząc na brata, ale on uśmiechał się do niej z radością, dając do zrozumienia, iż chętnie cierpi za Chrystusa.

Minęły jeszcze dwa lata. Życie Tichomirowa na zesłaniu odbijało wszędzie czysty i święty obraz życia Chrystusa, co było przyczyną powodzenia jego świadectwa. Pisywał do Szury oraz do Sołowiewa, który donosił mu, iż pozostał we wsi rodzinnej, gdzie niewielka społeczność chrześcijan ewangelicznych przyjęła go po bratersku, i pracuje w niej z wielkim błogosławieństwem Bożym. Matka jego żyje nader szczęśliwa, iż Bóg wysłuchał jej modłów i ocalił jej syna. W pokoju i radości przeżywa ostatnie lata swoje pod opieką trzeźwego i uczciwego syna - chrześcijanina.

Gdy minął termin zesłania, Paweł powrócił do Szury z zamiarem poświęcenia życia ocaleniu dusz grzesznych. Nie chciał krępować się więzami rodzinnymi, aby nic nie przeszkadzało mu w głoszeniu radosnej nowiny Bożej wśród ludzi - tej samej Ewangelii, która jego i tyłu

ginących już odrodziła. Pracował w zaborze tego miasta, gdzie mieszkała Szura, oraz w innych miejscowościach Syberii, ale stałe zamieszkanie miał u siostry, co radowało jej małżonka. Szura często towarzyszyła bratu w podróżach jako pracowniczka dla Chrystusa. Zbór chrześcijański w ich miasteczku kwitnął duchowo. A na pierwszej karcie Nowego Testamentu, który niegdyś zabrał zabitemu przez się bratu, Paweł Tichomirow położył i swój napis, który głosił: "Przebac mi dla Chrystusa, drogi bracie; zabiłem ciebie, ponieważ sam martwy byłem w grzechach swoich. Pan mi przebaczył i wskrzesił mnie do życia. A twoja przedwczesna śmierć cielesna posłużyła do obdarzenia życiem wiecznym nie tylko mnie, ale i wielu podobnych do mnie zbrojców i grzeszników. Testament twój, jako potok życiodajny, zmiękczył zatwardziałe serce, napoił mnie, łaknącego i płynie dalej, pojąc dusze innych ludzi. Niechajże błogosławiony będzie twój i mój Bóg. Amen".

Przypisy:

1. Nazwa "sztundyści" pochodzi od niemieckiego słowa Stunde (godzina). W drugiej połowie XIX wieku niemiecki pastor Bohnenkämper i jego współpracownicy prowadzili godziny biblijne (Bibelstunden) w szwabskich koloniach południowej Rosji. Nazwą "sztundyści" określano później wszystkie odłamy biblijnych chrześcijan Rosji [red.]

Wydano staraniem prezydium
Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego,
Warszawa 1961